

Koty
i córki

Tytuł oryginału angielskiego

Cats and Daughters: They Don't Always Come When Called...

Copyright © Helen Brown 2012

© Copyright for the Polish edition

by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2013

© Copyright for the Polish translation by Maciejka Mazan, 2013

Cover photograph © Anthony Jorge Nunes/shutterstock.com

HELEN BROWN

Koty i córki

(robią tylko to, co chcą)

Przełożyła
Maciejka Mazan



Wydawnictwo
Nasza Księgarnia

Dla kotów i córek, które robią tylko to, co chcą

Mieszkając z wrogiem

Kot nie zawsze jest odpowiedzialnym gospodarzem.

– Zgadnij, co się stało – powiedziała Lydia dziwnie wesołym tonem.

Nie lubiłam, kiedy tak mówiła. Ten ton zwykle zapowiadał, że zostanę do czegoś zmuszona, a nie miałam na to ochoty.

– Co? – rzuciłam z roztargnieniem. Krzyżówka z wiedzy ogólnej doprowadzała mnie do szaleństwa, bo żądano znajomości imion wokalistów rockowych, o których słyszałam pierwszy raz w życiu.

– Przyjedzie mój nauczyciel.

– Miło. U kogo się zatrzyma?

Nie znoszę, kiedy muszę szukać podpowiedzi na końcu książeczki z krzyżówkami. Ale jak inaczej miałam znaleźć „metal o liczbie atomowej 22”? A tak, tytan.

– U nas.

Długopis upadł mi na podłogę. Jonasz złapał go w zęby i uciekł.

Jej mnich! Ten typ! Ma zamieszkać u nas? Otworzyłam usta. Nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

– Nic z tego – wykrztusiłam w końcu. – Nie mamy pokoju.

– Może spać w moim. Ja przeniosę się na kanapę.

To był nasz dom, nie jakiś klasztor!

No, ale należał także do Lydii.

– Jak długo chcesz go tu gościć?

– Jakiś miesiąc – oznajmiła rzeczowo moja córka.

Trzydzieści dni skakania wokół człowieka, któremu się wydaje, że jest bogiem?

– Za długo – warknęłam.

Zakładając, że dyskusja dobiegła końca, ruszyłam na poszukiwania Jonasza i długopisu.

– Trzy tygodnie?! – zawołała za mną Lydia.

Jeśli moja córka wie coś o mnie na pewno, to niewątpliwie to, że niechętnie przyjmuję gości. A co do osoby, która miałaby spędzić z nami cały miesiąc... Mogłabym znaleźć kilka tysięcy ludzi, z którymi czułabym się swobodniej niż z tym uśmiechniętym typem ze zdjęcia w jej pokoju.

– Czy mnisi nie zatrzymują się w klasztorach? – spytałam.

– No, zaproszono go do posiadłości na wsi, gdzie specjalnie dla niego zbudowano dom, ale on mówi, że wolałby kwatery bliżej miasta.

Gdyby guru zamieszkał u nas, jego władza nad Lydią stałaby się jeszcze większa. Mógłby nawet starać się nawrócić całą naszą rodzinę. Poza tym nadal byłam na niego wściekła za to, że zwabił moją córkę na Sri Lankę, kiedy zachorowałam.

– Wykluczone – oświadczyłam.

– Ale ja tego chcę! – Oczy Lydii stały się okrągłe i wilgotne jak u Bambiego. – Nie sprawi żadnych kłopotów. Sama będę o niego dbać i przyrządzać mu posiłki. Zresztą on nie je dużo. Nie mógłby zostać choć na parę dni?

Opieranie się mojej córce spod znaku Byka to daremny trud. Zamykając drzwi przed mnichem, niewątpliwie rzuciłabym ją w jego ramiona.

– Na jedną noc – westchnęłam.

– Na dwie.

– Zgoda – mruknęłam, ledwie wierząc, że to powiedziałam.

Goszczenie mnicha nawet przez dwa dni to kłopotliwa sprawa. Ktoś taki prowadzi zbyt świątobliwe życie, by dzielić łazienkę ze zwykłymi śmiertelnikami. Musi się kąpać, brać prysznic i korzystać z toalety w absolutnym spokoju. I choć Lydia z radością oddałaby mu łazienkę na piętrze, jej siostra aż tak się do tego nie paliła.

– Myślałam, że mnisi preferują proste życie – mamrotała, przenosząc swój ręcznik i przybory toaletowe na dół. – Cemu akurat ten stanowi wyjątek?

Jonasz, zawsze wrażliwy na zmiany, okazywał najwyższy niepokój. Jak mechaniczna zabawka na sterydach pisał po całym korytarzu, non stop miaucząc. Nie odstępując Lydii na krok, miotał się na jej łóżku, kiedy zmieniała pościel i wykladała czyste ręczniki. Sprawdziłam, czy w jej pokoju nie ma przedmiotów, które mogłyby urazić naszego uduchowionego gościa. Zdjęcie roześmianej Lydii i jej szkolnych koleżanek w bikini na plaży, grafika z kobietą o gołym biuście, dawne lektury: *Pani Bovary* i *Anna Karenina*...

Mnich miał specyficzne wymagania żywieniowe. Jadał dwa wegetariańskie posiłki dziennie – sam w pokoju. Zgodnie z zasadami religijnymi od południa nie brał nic do ust. Powinniśmy także powstrzymać się od dotykania go. Uścisk dłoni, położenie ręki na ramieniu i przytulenie odpadały. Szacowny

gość jeszcze nie przybył, a już wymagał większego zachodu niż nasz obłąkany kot.

To wstyd, ale nie potrafię trzymać się reguł. Im usilniej się staram nikogo nie obrażać, tym gorzej mi to wychodzi. Gdy zostaję przedstawiona głęboko wierzącemu chrześcijaninowi, co chwila z moich słów pada: „Jezu!” i „Chryste!”. Lydia nie powinna mi mówić o zakazie dotykania mnicha. Od razu ręce zaczęły mnie świerzbic, żeby chwycić go w objęcia. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie łatwiej będzie, jeśli wszyscy wyniesiemy się do hotelu na czas jego pobytu w naszym domu, ale tu Philip zgłosił kategoryczny protest. Nie zamierzał się wyprowadzać z własnego mieszkania dla nikogo. Zaproponowałam, żeby Rob i Chantelle nie przychodzili tym razem na niedzielny obiad, ale ciekawił ich człowiek, który tak poprzewracał Lydii w głowie.

Nawet nasi tolerancyjni przyjaciele unosili brwi. Córka, która przechodzi na buddyzm, to ciekawostka, ale goszczenie w domu mnicha zakrawa na dziwactwo. Podczas sprzątania szmatką i (ku niesmakowi Jonasza) odkurzaczem zaczęłam się denerwować.

– Koty mu nie przeszkadzają? – spytałam Lydię.

– Niespecjalnie je lubi.

Jonasz posłał jej wzgardliwe spojrzenie ze szczytu drapaka.

– Czy buddyści nie kochają wszystkich żywych istot? – zdziwiłam się. – Czy nie dlatego są wegetarianami?

Wyładowywanie paczek tofu i klusek tak pochłoneło moją córkę, że nie uzyskałam odpowiedzi.

Tego wieczoru przybył mnich, spowity aurą charyzmy. Stałam w drzwiach – na wszelki wypadek splótłszy ręce na

plecach – uśmiechając się i kiwając głową jak pieski, które się stawia na tylnych szybach samochodów.

Philip zajął pozycję za mną, więc nie widziałam, co robi – pewnie jak zwykle uśmiechał się niezobowiązująco. Nieufnie uśmiechnięta Katharine przystanęła z boku. Jonasz przepchnął się naprzód, rzucił ku mnichowi i rozdzierająco wrzasnął.

Ku mojemu zdumieniu Lydia ukloniła się głęboko. Nie wyobrażałam sobie, żeby moja uparta, zadziorna córka posiadała mięśnie niezbędne do tak przesadnego gestu szacunku. W obecności tego człowieka prostowała się oraz stawiała się potulna i usłużna.

Mnich uśmiechnął się dobrotliwie zza okularów w złotych oprawkach. Twarz miał równie gładką jak pięć lat temu. Twierdził, że przekroczył sześćdziesiątkę, ale równie dobrze uwierzyłabym w trzydzieści pięć. Najwyraźniej życie religijne lepiej służy zachowaniu młodości niż operacje plastyczne.

Nasz gość popłynął przed siebie korytarzem, a Jonasz i my podążyliśmy za nim. Bardzo pragnęłam zrozumieć człowieka, który stał się tak ważny dla mojej córki. Chciałam go spytać o poglądy na wojnę w jego kraju i ewentualne plany wobec Lydii. Mnich usiadł dostojnie w fotelu przy kominku i zaczął opowiadać o swoich podróżach. Był uroczy, pewny siebie i, w każdym znaczeniu tego słowa, nieosiągalny jak ktoś z innego świata. Wkurzało mnie, że ciągle mówi o mojej córce jako o swojej uczennicy. Martwiłam się też, że nie traktujemy go z szacunkiem, do jakiego przywykli. Ale Lydia, klęcząca na podłodze obok niego z rękami bezczynnie złożonymi na kolanach, niewątpliwie nadrabiała nasze braki. Jonasz także wydawał się zafascynowany.

Dobrze, że już zapadł zmrok, bo nie musieliśmy się martwić, co podać naszemu gościowi do jedzenia. Kiedy opowiadał nam o zbiórkach pieniędzy i wykładach, które wygłosił podczas pobytu w Melbourne, Jonasz krążył wokół jego fotela, miaucząc i usiłując zwrócić na siebie uwagę. Nie wiem, czy zafascynowały go uroczne fałdy odzienia przybysza, czy też egzotyczne zapachy dalekich krajów, lecz najwyraźniej przypuścił uwodzicielską ofensywę. Drgnąłam z niepokojem, kiedy znikł pod brązowoczerwoną szatą mężczyzny.

– Sio! – syknął mnich i zaaplikował naszemu ulubieńcowi lekkiego kopniaka. Jonasz wyfrunął na zewnątrz. Zaskoczony, mrugnął i otrząsnął się, a odzyskawszy panowanie nad sobą, wskoczył na drapak i z głośnym mlaskaniem zaczął lizać swoje intymne części.

Kiedy ludzie nie jedzą ani nie piją, nie mają powodów, żeby kłaść się późno spać. Lydia odprowadziła nauczyciela na górę, a my, zdenerwowani, poszliśmy do łóżek. Na szczęście pokój mojej córki na tyle przypominał klasztorną celę, że mnich mógł się w nim poczuć jak w domu – choć miałam nadzieję, że nie spodoba mu się tu zanadto.

Następnego ranka obudziłam się wcześniej i zastałam Lydię grzebiącą w lodówce. Postawiła na tacy talerz ryżu z warzywami, a obok niego mniejszą miseczkę z jedzeniem.

– Dla kogo to? – spytałam.

– Dla Buddy – oznajmiła z powagą.

– On to zje? – zdziwiłam się, nie wierząc własnym uszom.

– To o f i a r a – pouczyła mnie moja córka, patrząc surowo.

No i znowu to samo: to poczucie, że jestem przyziemna i jakaś gorsza. A przecież nie kpiłam z jej nowej wiary. Z ochoc-

tą mogłam się przyznać do ignorancji. Goszczenie mnicha pod naszym dachem po prostu przerosło moje siły.

Przez dom zaczął się przewijać szereg uczniów, głównie ludzi Zachodu. Siadali przy nauczycielu, a on zaszczycał ich nowymi wieściami o budowie klasztoru. Mniszki cieszą się z nowej kuchni, ale on ma plany zakrojone na znacznie większą skalę. Liczy na to, że pewnego dnia na szczycie góry nad klasztorem stanie ogromny posąg.

Między wizytami poprosiłam mnicha, żeby mi o sobie opowiedział. Okazało się, że urodził się w biednej wiosce, a potem spotkał wielkiego nauczyciela. Pokazał mi jego zdjęcia – dumnego guru, który podobno dożył dziewięćdziesięciu paru lat.

Jako młodzieniec nasz gość spędził kilka lat na medytacjach w grocie, do której z czasem dobudowano chatę. Potem przeniósł się do wygodniejszego miejsca na górze. Grotę zajmował obecnie ktoś młodszy, równie żarliwie medytujący. Stanowiła ona punkt centralny klasztoru.

Tego popołudnia zabraliśmy mnicha do ogrodu botanicznego. Nad jeziorem spytałam o różnice między buddyzmem ze Sri Lanki i z Tybetu. Otrzymałam długą, zawiłą odpowiedź, zawierającą niepochlebne uwagi o potencjale Philipa, jeśli chodzi o oświecenie. Miałam nadzieję, że da się je złożyć na karb bariery językowej. Na szczęście nie słyszał tego mój mąż, pochłonięty rozmową z czarnym łabędziem.

Zmieniłam temat i powiedziałam mnichowi, że niedługo po operacji widziałam go, jak siedział w nogach mojego łóżka. Odrzucił głowę i roześmiał się z zachwytem.

– Zrobiłem to! – oświadczył, machając ręką w powietrzu.
– Tak! Udało się!

A zatem jego repertuar obejmował teleportację. Nie wiedziałam, które z nas jest bardziej szalone – on, utrzymujący, że tego dokonał, czy ja, która go widziałam.



Drugiego dnia dowiedzieliśmy się, że mnich pozwolił na rzadkie odstępstwo od zwykłych praktyk. Zamierzał zaszczycić nas swoją obecnością podczas obiadu, oczywiście pod warunkiem że posiłek będzie wegetariański i że podamy go przed południem. Ponieważ nadeszła niedziela, spodziewaliśmy się Roba i Chantelle. Wysłałam im esemesa z wiadomością, by zjawili się wcześniej, jeśli liczą na coś do zjedzenia.

Muszę powiedzieć, że to spotkanie nie należało do najswobodniejszych. Obecność buddyjskiego guru u szczytu stołu nieco zmieniła atmosferę. Ale wszyscy się starali, uprzejmie podając sobie talerze z sałatką, chlebem i smażoną fasolką. W pewnej chwili przyłapałam Roba na tęsknym spoglądaniu na lodówkę, gdzie schowałam szynkę.

Jonasz – chwała Bogu – odzyskał zmysły i zachowywał się do pewnego stopnia normalnie. Gdy jedzenie znalazło się na naszych talerzach, chwyciliśmy za widelce, na co mnich przypomniał nam, że pora na błogosławieństwo. Opuściliśmy sztućce i głowy.

– Chce odmówić modlitwę? – szepnęłam do Lydii, najwyraźniej zażenowanej naszą gburowatością. Ale kto mógł się spodziewać, że buddyści odmawiają modlitwę przed jedzeniem? Choć, jeśli się zastanowić, błogosławienie posiłku to pewnie najbardziej uniwersalna praktyka religijna.

Modlitwa mnicha okazała się wyjątkowo szczegółowa. Uwzględniała ziemię, która wydała plony, deszcz, słońce i rolników. Skinęliśmy głowami i znów wzięliśmy widelce, ale bło-

gosławieństwo jeszcze się nie skończyło. Odłożyliśmy sztuce i czekaliśmy ze wzrokiem wbitym w jedzenie, podczas gdy on wychwalał ludzi, którzy przywieźli produkty do miasta...

Przy stole zapadła niezręczna cisza. Milczenie stało się prawie namacalne, wypełniło pokój i naparło na okna balkonu. Rob rzucił mi znaczące spojrzenie. Siedzący po jego prawej stronie Philip wyglądał na pochłoniętego jakimś skomplikowanym matematycznym równaniem. Katharine oparła brodę na piersi i nie spoglądała na boki. Tylko Lydia i mnich najwyraźniej czuli się swobodnie.

A później się zaczęło. Szelest w pralni, potem podejrzany hałas. Pochwyciłam spojrzenie Katharine. Obie wiedziałyśmy, co to znaczy. Jonasz wybrał sobie akurat tę chwilę, by użyć kuwety. Szelesty stawały się coraz głośniejsze, aż zmieniły się w zdecydowane skrobanie. Jonasz dokopywał się do dna kuwety, rozkoszując się przesuwaniem pazurków po plastiku. Skrrrrob, skrrrrob, coraz szybciej i szybciej, aż zaczęło się nam wydawać, że za ścianą działa koparka.

Mnich zaczerpnął powietrza i zaczął błogosławić magazynierów naszej żywności i tych, którzy wyłożyli ją na półki sklepu. Skrob, skrob. Jonasz dawał nam do zrozumienia, co o tym sądzi. Katharine zaczęła się trząść, hamując chichot pensjonarki. Szczeniackie, ale nie do powstrzymania... i w tych okolicznościach wysoce zaraźliwe.

Nie wiem, czym to tłumaczyć – może reakcją na stresujące okoliczności – ale ani się obejrzałam, jak i ja zaczęłam chichotać. Zerknęłam z ukosa na pokerowe twarze Roba i Chantelle. Philip także siedział poważny jak właściciel zakładu pogrzebowego. Byli tak opanowani, że jeszcze bardziej mnie to rozśmieszyło. Od powstrzymywania śmiechu rozboleły mnie że-

Koty i córki

bra. Im bardziej się starałam zdusić chichot, tym gwałtowniej zmieniał się w ośle porykiwania. Nie zachowywałam się tak chyba od trzydziestu lat. Usiłowałam symulować atak kaszlu, ale nikt nie dał się oszukać, a najmniej moja starsza córka, której policzki zrobiły się ciemne jak szata jej nauczyciela.

Gdy posiłek miłosiernie dobiegł końca, mnich udał się na odpoczynek w swoim pokoju. Lydia, szczękająca naczyniami nad zlewem, rzuciła Katharine i mnie spojrzenie zdolne zamrozić tropikalną dżunglę.

Następnego ranka, kiedy klaniając się i machając rękami, żegnaliśmy mnicha, westchnęłam głęboko... z rozkosznej ulgi.



Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,
faks 22 643 70 28
e-mail: wnk@wnk.com.pl

Dział Handlowy
tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42
Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 641 56 32
e-mail: sklep.wysylkowy@wnk.com.pl

www.wnk.com.pl

*Książkę wydrukowano na papierze
Creamy Hi Bulk 60 g/m² wol. 2,4.*

Redaktor prowadzący *Joanna Wajs*
Opieka redakcyjna *Magdalena Korobkiewicz*
Redakcja *Ewa Ressel*
Korekta *Magdalena Adamska, Karolina Pawlik,*
Krystyna Lesińska, Ewa Mościcka
Opracowanie DTP, redakcja techniczna *Agnieszka Czubaszek*

ISBN 978-83-10-12467-8

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2013 r.
Wydanie pierwsze
Druk: Nasza Drukarnia